№ 18 Warszawa, 30 Kwietnia 1908 roku. Rok I.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

Prenumerata: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie kop. 65. Numer pojedyńcz. — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedyńczy kop. 15. Za zmianę adresu — 22 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Red. i Administr. Żórawia 29 m. 2; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7—prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2 — 3 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU.

WOBEC ZJAZDU WSPÓŁDZIELCZEGO.

2 maja rozpoczynają się w Moskwie posiedzenia pierwszego ogólno-państwowego zjazdu współdzielczego.

Nie ulega wątpliwości, że zjazd ten odegra rolę poważną w ruchu współdzielczym, że go ożywi i skoordynuje. Obecnie na całym obszarze państwa jest koło 7,000 instytucji kooperacyjnych, z których mała tylko, niestety, cząstka przypada na Królestwo Polskie. Kooperatywy te wymagają już pewnych dyrektyw, brak których — spowodowany ogólnemi warunkami społeczno-politycznemi — dotkliwie odczuwać się dawał.

Aby uswiadomić sobie cele i zadania zjazdu współdzielczego, zastanówmy się nad rozwojem kooperatyw w państwie rosyjskiem.

Według danych petersburskiego komitetu do spraw instytucji pożyczkowo - oszczędnościowych i przemysłowych z d. 1 stycznia 1906 r. było 1.172 stowarzyszenia spożywcze; miejskich stowarzyszeń było 708, wiejskich 464.

W ciągu 2 lat ostatnich powstała znaczna ilość stowarzyszeń współdzielczych spożywczych, tak, że obecnie bez przesady można ilość ich okreslić na 1500. Niestety jednak, rozwój jakościowy kooperatyw nie idzie w parze z ilościowym; kooperatywy często wiodą żywot suchotniczy, a często istnieją tylko nominalnie (choćby założone przed kilkoma laty stowarzyszenie spożywcze „Pożytek", które sklep swój wydzierżawiło przedsiębiorcy prywatnemu). Mamy tu do czynienia raczej z falsyfikatami kooperatywy niż z instytucjami kooperacyjnemi w pełnem słowa tego znaczeniu. Zastosować się to daje szczególniej do kooperatyw robotniczych, tego głównego nerwu ruchu współdzielczego miast. W Europie Zachodniej robotnicy już oddawna posiadają swoje niezależne kooperatywy. U nas robotnicy zorganizowani są (i to tylko gdzieniegdzie) w stowarzyszenia spożywcze przy fabrykach i kolejach.

W Europie Zachodniej stowarzyszenia spożywcze mają na celu powiększenie siły spożywczej robotnika. Są to demokratyczne i samorządne organizacje robotnicze, starające się o zaspokojenie nie tylko materjalnych, ale duchowych i moralnych potrzeb swych członków. Tam każde stowarzyszenie spożywcze, jak tylko zacznie dawać dochody, stara się stwarzać instytucje oświatowo-kulturalne.

Zupełnie inaczej rzecz się ma w naszych i rosyjskich kooperatywach robotniczych. Te kooperatywy nie tylko nie polepszają położenia robotników, jako spożywców, lecz często bardziej jeszcze uzależniają ich od fabrykanta.

U nas zaś powstał taki typ spożywczych stowarzyszeń „robotniczych": na czele zwykle staje ktoś z zarządu fabrycznego lub wysoki urzędnik; udziałowcami są najlepiej zarabiający urzędnicy i majstrowie (w tym celu udziały są wysokie). Gorzej zarabiający robotnicy mogą tylko kupować w sklepie, za co pobieraja mały odsetek zysków. Natomiast udziałowcy pobierają ogromne dywidendy; oni też dokonywują wyborów, więc uniemożliwiają pokrzywdzonym biedakom wprowadzenie jakichkolwiek zmian. To też cała działalność stowarzyszenia ogranicza się do otwierania sklepów; dzieje się to bez względu na wielkość obrotów.

Typem takich stowarzyszeń spożywczych może być stowarzyszenie spożywcze robotników zakładów Putiłowskich w Petersburgu. Ma ono 5,000,000 rubli obrotu i daje od 60 do 80 tysięcy rubli czystego dochodu. Na czele zarządu stowarzyszenia stoi wicedyrektor fabryki. Wszystkich udziałowców jest 2,000, podczas gdy zakupy robi 14,000 osób. Tłomaczy się to tem, iż udział wynosi 50 rubli; dywidenda też stanowi od 12 do 24%. Członkowie zaś nieudziałowcy, którzy czynią zakupy, ale których nie stać na udział 50 rublowy, pobierają 4%; z zestawienia okazuje się, że 2,000 udziałowców pobiera 50,000 rubli, a 12,000 innych kupujących 5,000 rubli.

Oczywiście, że w takich stowarzyszeniach oprócz nazwy niema nic współdzielczego, a przedewszyst-

kiem niema tam ducha kooperatywy. Wystarczy przejrzeć sprawozdanie pierwszego lepszego stowarzyszenia „kooperacyjnego“, by się przekonać, że zasady kooperatyzmu są im zupełnie obce, że istniejące u nas i w Rosji stowarzyszenia spożywcze dalekie są od zasad, jakie ożywiały pjonierów kooperatyzmu, słynnych tkaczy z Rochdalu.

Nasze kooperatywy to są przedsiębiorstwa handlowe, które wyzyskują robotników nie gorzej od zawodowych kupców.

O celach kulturalnych myśli się bardzo mało i niechętnie: Stow. pracowników kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, naprz. przez pewien czas zajmowało się rozsyłaniem gazet warszawskich po linji; po pewnym czasie jednak zrzekło się tego, chociaż strat żadnych nie miało.

Członkowie stowarzyszenia spożywczego „Merkury“ do tego stopnia nie interesują się losami swej wegetującej instytucji, że na zebrania ogólne przychodzi co najwyżej 20 — 30 osób.

Kooperatywy wytwórcze przedsiębiorą operacje zwykle ryzykowne pod względem materjalnym, a pod względem etycznym niekiedy tak odrażająco wstrętne, że aż stawać muszą przed sądami (tu wspomnimy osławiony warszawski giełdowy związek roboczy z jego tylokrotnie piętnowanym prezesem p. Krzeczkowskim); czasem znów znikają, tak że członkowie dowiedzieć się nic o nich nie mogą (naprz. Tow. Współdzielcze Opałowe).

Oczywiście ruch wolnościowy nie pozostał bez wpływu na instytucje współdzielcze; zaczęto je potrochu zakładać samodzielnie; pojawiły się też kooperatywy na wsi w postaci kółek rolniczych. Szkoda tylko, że w wielu miejscach ruch współdzielczy przybrał charakter wyznaniowy (naprz. w Łodzi, gdzie powstało wiele sklepów chrześcijańskich, co było jednym z powodów rozognienia waśni partyjnych).

O ile jednak ruch współdzielczy ma przyszłość w sferze robotniczej, o tyle zupełnie chybione są usiłowania zaszczepienia go wśród drobnomieszczaństwa, co w swoim czasie zrobić usiłowali organicznicy. Najwymowniejszym dowodem nikłości tych usiłowań jest choćby to, że mimo 40-letniej pracy agitacyjnej w tym kierunku pozytywistów polskich, nasze towarzystwo kooperatystów (niebacząc na to, że istnieje już 2 lata) liczy zaledwie 94 członków.

Obecnie usiłowania w kierunku zainteresowania drobnomieszczaństwa ideą kooperatywy ujawnia Polskie Zjednoczenie Postępowe; usiłowania te jednak również wydają nam się chybionemi, gdyż istota kooperacji polega na drobnych oszczędnościach nieodgrywających roli w budżecie ludzi średnio choćby zamożnych (z których się składa grupa „Polskie Zjednoczenie Postępowe“) i na tworzeniu instytucji kulturalnych, których braku drobnomieszczaństwo nie odczuwa, gdyż nawet tych, które ma, nie popiera (dowodem „Tow. Kultury Polskiej“, liczące zaledwie 1,042 członków).

Przyszłość kooperatyw to lud wiejski i miejski, dla którego nader ważne będą uchwały zjazdu moskiewskiego; nie omieszkamy też zdać z nich sprawę naszym czytelnikom.

P. W.

KTO STWORZYŁ CZŁOWIEKA?

(Ciąg dalszy)

Ale i błędy powyższe, których przyczyną była nie tyle teorja, co ludzie, nie zrobiły by tak wiele złego, gdyby sama hipoteza była wystarczająca.

Tymczasem teorja Natury jako pierwotnej, naczelnej siły twórczej w ostatnich czasach poczęła w wielu punktach nie wytrzymywać krytyki i zamiast być hipotezą, ułatwiającą życie, zrozumienie świata i człowieka, stawała się wprost przeciwnie, rodzicielką nieporozumień, zamąceń, zawikłań i nieszczęścia.

Lista tych zawikłań w rozmaitych dziedzinach myśli i życia jest również bardzo długą i nie mamy obecnie zamiaru wyczerpywać jej.

Poruszymy tylko niektóre z nich, które są nam potrzebne.

OKTAWJUSZ MIRBEAU.

OGRÓD UDRĘCZEŃ.

(Ciąg dalszy.)

— Ależ mówcież nareszcie, stary gaduło! — krzyknęła Klara rozkazująco, tupiąc niecierpliwie nóżkami po piasku alei.

— No, no... — uspakajał ją wygadany oprawca. — Trochę cierpliwości, milady... Bądźmy systematyczni... A więc, wprowadza się w otwór doniczki żelazny pręcik, rozpalony w żarowni. Szczur chce uniknąć parzącego dotknięcia świecącego prętu... Pląsa jak oszalały, skacze, odbija się, czepia się ścian, kręci, łazi i cwałuje po pośladkach człowieka, z początku je łaskocze, a potem drze pazurami, gryzie ostremi zębami, szukając wyjścia poprzez postrzępione krwawe mięso... Lecz wyjścia niema, albo przynajmniej w pierwszych chwilach oszołomienia szczur nie znajduje wyjścia. A pręt żelazny, zręcznie kierowany biegłą ręką, wciąż się przybliża do szczura... grozi mu... opala sierść... Cóż powiecie na to preludjum?

Rzeczą w tem wszystkiem najważniejszą jest o ile można przedłużać manipulację przedwstępną, bo fizjologja poucza nas, że nie może być nic okropniejszego, jak łaskotanie skąsanego ciała. Torturowany niekiedy dostaje szaleństwa... Wyje on, rzuca się... Ciało, skrępowane łańcuchami drży, mięśnie się wyprężają, wiją w bolesnych kurczach! Lecz łańcuchy mocno pętają członki, rzemienie przyciskają doniczkę... A miotanie się skazanego potęguje tylko wściekłość szczura, który wkrótce upija się krwią. O, milady, co to za wspaniała tortura!

— No, i cóż dalej? — spytała Klara głosem urwanym i drżącym z twarzą pobladłą nieco.

Kat mlasnął językiem i mówił:

— Dalej — widzę, że milady się niecierpliwi, pragnąc dowiedzieć się końca tej interesującej i zabawnej historji... Wreszcie szczur, któremu pręt wciąż zagraża, poparzony tu i owdzie kończy na tem, że znajduje wyjście... wyjście naturalne, milady... a jednak jak niehonorowe!.. Ha!.. ha!.. ha!..

— Jakież to wstrętne! — zawołała Klara.

— A, tak, tak... milady... Domyśliliście się sami... Jestem dumny, żem was tak zdołał zaciekawić... Ale poczekajcie... Szczur wdziera się, jak już wiecie, w ciało człowieka, rozszerzając pazurami i zębami korytarz... ach! ach! ach! — korytarz, drążony zaciekle jak w ziemi... Szczur potem zdycha, dusi się, a człowiek po półgodzinnych straszliwych, nie dających się opisać męczarniach, umiera także od utraty krwi... jeśli nie od samych mąk... lub od wyczerpania szaleństwem... Bądź co bądź milady... jakakolwiek jest ostateczna przyczyna tej śmierci — wierzcie mi, że jest to coś wspaniałego.

Hipoteza Natury jako pierwszej twórczyni siebie i człowieka wyszła i oparła się na współczesnej nauce, na rozszerzeniu się zjawisk natury oraz ich poznaniu. Znane „Ignorabimus", wyrzeczone w swoim czasie przez Du Boys Reymond'a, uderzając w naturę, w zdolności poznawcze człowieka, poruszyło podstawami nauki osłabiając grunt naturalistycznej hipotezy.

Natura, owo wielkie podłoże wszelkiej rzeczywistej, szczerej niezmiennej Prawdy, okazało się również, jak dawny Bóg, niepoznawalne, spowite w wieczną tajemnicę, której człowiek nigdy odchylić nie będzie w stanie, nie będzie mógł poznać, co się tam po za nią kryje! A więc pierwsza przyczyna rzeczy jest i będzie zasłoniętą! Ostateczny cel istnienia nigdy niepoznany! Skazani jesteśmy na wszelkie domysły niepewne, na wiarę, tak jak przy przy hipotezie bóstwa. Człowiek nie jest w stanie *poznać* natury a w ten sposób wszelkie nadzieje, że nauce w końcu uda się pochwycić główną przyczynę, główne źródło sił, praw, kolei, losów etc. świata, która pozwoliła by wytępić zło, śmierć, dać ludziom trwałe szczęście, że te nadzieje rozwiewają się wobec złowieszczego wyrzeczenia: rzeczywistość jest niepoznawalną. Teorja względności wszelkich poznań ludzkich źle wyprowadzona z twierdzeń Kanta, niby popartych przez fakty nowoczesnej psychologji, podcięła korzenie nowej teorji powlekając całe szeregi duchów melancholją rozczarowań i beznadziejności. Tak zwana *sbyłkowość* panująca pod koniec ubiegłego wieku, miała, jako jądro psychologiczne, właśnie owo zwątpienie w Naturę, w siłę wiedzy, płynącej z jej poznania. Nauka w oczach shyłkowców stała się w najlepszym razie bogatem narzędziem, ozdobnym, ścisłym kluczem, niestety zupełnie niezdatnym do otworzenia tajemniczych podwoi, które zamykają przyszłość.

Nie można poznać do głębi, dokładnie! Człowiek zawsze stać będzie wobec tajemnicy — a szczególniej wobec najważniejszej z nich—tajemnicy Śmierci i Stworzenia. Punkt, różniący dotychczas stary teizm od młodego naturalizmu, który był przekonany o możności rozwiązania tych zagadek bytu, upadł. Naturaliści, tak jak i teiści, stanęli znowu wobec Nieodgadnionego, które ukazało im swe oblicze w całej nagiej prawdzie, nie zasłonięte, nie opromienione całym teistycznym, skomplikowanym, wypróbowanym aparatem religijnego kultu. Naturalizm poczuł się zwyciężonym w walce z teizmem i z przyszłością nową, której się spodziewał.

Równocześnie sam kuł broń na swoją własną szkodę, kierując często jej ostrze przeciwko samemu sobie. Teiści wymyślali na Naturę, na jej tępość, bezmyślność, zarzucali naturalizmowi obniżenie człowieka, jego stanowiska, jego godności, znaczenia w życiu świata, zarzucali sprowadzenie go do rzędu zwierzęcia etc. Naturalizm bronił się twierdząc, że poznanie rzeczywistej prawdy, nawet gdyby ona istotnie równała człowieka ze zwierzęciem, może tylko podnieść człowieka, w czem miał rację.

Niestety w praktyce, mimowoli robił to, co mu nie słusznie w teorji zarzucano.

Lista tych błędów naturalizmu, popełnionych przeciwko samemu sobie, jest również dosyć długa. Wyliczymy trzy zasadnicze:

1) Od naukowości wymaganym był objektywizm — czyli podporządkowanie badacza obserwowanej naturze.

Człowiek badacz skutkiem tego powoli zamieniał się na dokładne narzędzie myślenia i czynów. W laboratorjum chemicznem współczesnem chemik jest istotnie tylko jednem z narzędzi i przyrządów, przytem musi się starać, aby był aparatem tak dokładnym, stałym, czułym, jak otaczające go biurety, wagi i inne przyrządy miernicze. Matematyka wykreśla mu ścisłe drogi myślenia, biorąc go w kluby i usuwając jego indywidualność, *wszelką* przypadkowość, zmienność jego usposobienia. Wprowadzone bowiem do działań matematycznych, mogą w rezultacie dać błędy. Metody analityczne, nawet poszukiwanie nowych prawd ujmują jego czynności w ścisłą ilościowość i kolejność. Chcąc otrzymać czysty metal z jego tlenku musi on trzymać się pewnych określonych, prawdziwych metod, w przeciwnym razie nie osiągnie pożądanego rezultatu. Człowiek staje się coraz bardziej w nauce narzędziem ścisłem, bezosobowem, bezindywidualnem — a więc pozornie... usuwa się. Weźmy całe szeregi rozpraw naukowych, z dziedziny nauk ścisłych. Jak są jednakowo napisane! Wyglądają tak, jak gdyby robił je jeden

---

Był zadowolony i kończył z miną tryumfującą:

— Czy to nie jest rzecz zdumiewająca, milady? — czy to nie cudowny wymysł... nie szczyt doskonałości, coś klasycznie pięknego?.. Niepodobna znaleźć nic podobnego w przeszłości... Nie chciał bym być chełpliwym, ale zgodzicie się, milady, że nawet demony, które przebywały niegdyś w lasach Yunnamu nie wymyśliłyby podobnego cudu... I takiej to katuszy nie zaaprobowali sędziowie! Widzicie milady, żem im zaprojektował coś niesłychanie doskonałego, jedynego w swoim rodzaju, co mogłoby wzbudzić natchnienie naszych największych artystów... I oto nie chcieli... oni teraz niczego już nie chcą... Powrót do tradycji klasycznych przejmuje ich zgrozą! Nie mówię już o innych przeszkodach charakteru moralnego, o których ciężko wprost wspominać... intryga, zdzierstwo, konkurencyjna sprzedajność, pogardliwe traktowanie tego, co słuszne, wstręt do piękna... i wiele innych pobudek... Sądzicie, milady, jestem tego pewny, że za taką usługę zrobiono mnie mandarynem? No, zapewne! Otóż nie, milady, żadnej nie otrzymałem nagrody. Czy to nie jest charakterystyczną oznaką upadku kraju? Ach, nic z nas już nie będzie! Jesteśmy narodem umierającym... Japończycy mogą rzucić się na nas... a my nie zdołamy ich odeprzeć... Żegnaj, ojczyzno!

Zamilkł.

Słońce chyliło się do zachodu. Cień od szubienicy przesunął się i wyciągnął na trawie. Zieloność polanek odbijała jaskrawiej, zwilżone rośliny parowały, tworząc w załamaniach słonecznych jakoby obłok złocisto-różowy. Kwiaty połyskiwały jak różnobarwne gwiazdy na szmaragdowym widnokręgu...

Jakiś ptak, żółto upierzony, przyniósł w dziobie długą gałązkę i poprawiał swe gniazdo, ukryte w gąszczu koło szubienicy, gdzie siedział kat. Ten marzył teraz... Twarz jego zdawała się spokojniejszą... Odruchowe skurcze nie wykrzywiały jej. Nie było już na niej okrucieństwa, lecz był smutek.

— A kwiaty... — wyszeptał po chwili milczenia.

Czarny kot wysunął się z gęstwiny. Wygiął grzbiet i machając ogonem, mruczał i tulił się do kata, który począł go głaskać. Kot dostrzegł chrząszcza, przyczaił się za pękiem trawy i nastroszywszy uszy śledził błyszczącemi oczyma polot owadu.

Kat, którego patrjotyczne wylewy przerwało niespodziewane zjawienie się kota, pokiwał głową i ciągnął:

— A i kwiaty także... Straciliśmy zmysł do kwiatów: bo dziś wszystko się wali... Nie mamy już o nich pojęcia. Czy uwierzycie, milady, że przysyłają nam kwiaty z Europy! Nam, co posiadamy najbogatszą na całym świecie i najbardziej różnorodną florę! Bo i czego nam dziś nie przysyłają! Czapki, rowery, meble, młynki do kawy, wino i kwiaty!.. A gdybyście wiedzieli, milady, jaką czczą pustką, jakiem sentymentalnem ubóstwem, jakim idjotycznym dekadentyzmem dźwięczą wiersze naszych rymorobów, które oni poświęcają kwiatom... To coś straszliwego... znajdują się panowie, którzy utrzymują, że kwiaty są rozpustne! Kwiaty roz-

i ten sam człowiek. Są one dla wszystkich ludzi — w tem ich siła. Ale odwrotna strona medalu tej siły zjawiła się w postaci zagaśnięcia żywego, rzeczywistego, dziś istniejącego człowieka w naukach ścisłych.

Staje się rzecz dziwna i zarazem naturalna.

Równocześnie z rozwojem Natury wskutek jej poznania człowiek maleje, kurczy się w niej coraz bardziej. Po epoce romantycznej, w której człowiek na skrzydłach fantazji poetyckiej równał się Bogu, był twórcą, mógł grać na gwiazdach, stworzycielem, ogarniał wszechświat, w rozpromienionej wyobraźni, dumny z wielkości natury, którą odkrył i poznał, ze swego zwycięstwa nad Bogiem, po owym okresie człowiek poczyna kurczyć się. Z nauki indywidualność jego zostaje usuniętą, wprowadzoną tylko jako równanie osobistego błędu. W nauce człowiek wraz z swoją indywidualnością może tylko *przeszkadzać* w poznawaniu prawdy. Prawda musi być objektywną. Żadnego subjektywizmu. Z drugiej strony znów:

2) Nauka obrała człowieka jako przedmiot badania, równając go pod tym względem z bakterją, amoebą, minerałem. W zoologjach człowiek kończy szereg zwierząt. Nieskończoność olbrzymich światów, przestrzeni międzygwiazdowych, straszliwie długie czasy geologiczne, przytłacza jego małą, drobną, nikłą figurkę. Cuda budowy mikroskopowej jego własnego ciała, jego nerki lub wątroby, mądrość ich funkcji fizjologicznych, budowa mózgu, wielkością, mądrością, cudownością pobijają na głowę samego człowieka, który w życiu jest tak ciemnym, głupim, niedołężnym.

3) Wreszcie z Natury z wszechświata (zapomniawszy o tem, że człowiek bądź co bądź jest i musi być jej częścią składową — jeżeli owa Natura będzie dość szeroko pojmowaną) — a wraz z nim, naturalnie, pierwiastek świadomości, ducha etc. wyeliminowano powoli człowieka. Był to przedewszystkiem skutek dalszy rozpędu, nabranego przez naturalizm w walce z bogami, bóstwami, duchami, zaludniającemi naturę w starych poglądach teistycznych. Gwiazdy, słońca, przestrzenie międzygwiazdowe, zjawiska, prawa, etc. zostały oczyszczone od pierwiastków nadprzyrodzonych, animistycznych i ich pochodnych. Natura pozostała krystalicznie czystą ale ...

Człowiek oddzielił się od niej, duchowość zniknęła. Te trzy przyczyny: ostatnia -- odjęcie naturze człowieka i jego ducha, drugi — uznanie człowieka jako drugorzędny materjał badania i wreszcie objektywizacja uczonego, usiłowanie sprowadzenia go do zera, do ścisłego narzędzia — te trzy przyczyny obok innych, wykopały wielki przedział między Naturą z jednej strony a Człowiekiem z drugiej, tak że nawet te nauki, które zajmowały się człowiekiem jako materjałem badań, jak psychologja, socjologja, ekonomja, antropologja, historja w klasyfikacji nauk, zostały zaliczone i są w dalszym ciągu zaliczane do nauk drugiego rzędu, oddzielanych pewną przestrzenią od nauk rzeczywistych, ścisłych.

Skutkiem tego na tle nowoczesnych ateistycznych i naturalistycznych pojęć, które miały być monistycznemi, które miały zwalczyć dualizmy dawnego teizmu i światopoglądów jeszcze pierwotniejszych — na tle tych pojęć stworzył się bardzo szybko nowy, nieznany dotychczas dualizm. Stworzył się on nie jako wynik rozumowania, teorji, lecz jako skutek biegu rzeczy, praktyki, nie jako skutek czynników wewnętrznych lecz zewnętrznych, mechanicznych, czem nowy dualizm zasadniczo różni się od starego.

Mianowicie w tym nowoczesnym monizmie który uznawał jedność rzeczy, pierwiastków, sił — zależność wszystkiego praprzyczyny czy jednego prapierwiastku,— stworzył się sam bardzo gruby w objawach pierwotny dualizm — dualizm monistyczny.

Z jednej strony stanęła pozbawiona pierwiastków ludzkich objektywnie poznana Natura (dawne „ciało“ teistów) — pusta, ciemna, wielka, głucha, nieznana, niepoznawalna *moles indigestaque*. Z drugiej strony Człowiek i jego świat wyodrębniony — (dawniejsza dusza, duch teistów).

Gdy chodziło o chemję, fizykę, matematykę, anatomję, fizjologję, nawet psychologję eksperymentalną, o te nauki, które badały człowieka jako objekt prosty, nie zwracając na to uwagi, że sam badający jest przecież również człowiekiem, wszystko było dobrze, ów przedział nie raził.

---

pustne! Doprawdy, tego już za wiele! Czy pojmujecie, milady, jaka to bezmyślność, jaka potworna głupota? Kwiaty to namiętne, szalone, nienasycone, dziwne istoty... jak miłość!

Zerwał jaskier, który wdzięcznie pochylał obok niego swe złociste główki, i z niewypowiedzianą czułością, tkliwie obracał jego gałązkę w grubych czerwonych palcach, pokrytych krwią zapiekłą.

— Czy to nie cudowne zjawisko? — powtarzał rozkoszując się kwiatkiem. — Taki maleńki... wątły... a jednak jest to odbicie całej przyrody... jej wspaniałej piękności... przecie w kwiatku tym zawiera się świat cały. Taki wątły organizm — a z jaką gwałtownością i mocą zmierza do kresu swych pragnień! Ach, kwiaty nie pławią się w sentymentach, milady! Oddają się miłości... tylko miłości... o niej jedynie myślą i mają słuszność!.. Rozpustne? Dlatego, że są posłuszne jedynemu wielkiemu prawu przyrody, że się oddają najważniejszej sprawie życiowej... miłości. Patrzcie, milady!.. kwiat ostatecznie jest organem płciowym — i niczem więcej... Czy może być coś naturalniejszego, bardziej wyrazistego i pięknego?... Te cudowne płatki... jedwab... aksamit... miękka pieszcząca tkanina... to przecie zasłony alkowy... lub ślubnej komnaty... wonne łoże, gdzie się łączą dwie płci... gdzie przemija ich chwilowe istnienie... gdzie jednak rodzi się i umiera miłość nieśmiertelna. Jaka cudowna nauka dla nas!

Rozwarł ostrożnie płatki kwiatu i policzył obciążone pyłkiem pręciki. Oczy zachwycone, zaszłe wilgocią robiły w jego twarzy komiczne wrażenie.

— Patrzcie, milady!.. raz, dwa.. pięć... dziesięć... dwadzieścia... patrzcie, jak drżą! Wypada ich przecie dwudziestu samców na jedną samicę! He!.. he! he!.. Bywa niekiedy i odwrotnie...

Obrywał płatki jeden po drugim.

— Skoro tylko nasyciły się miłością, — zasłony pękają... płatki więdną i opadają... kwiatek umiera, bo wie doskonale, że niema już co robić na świecie... umiera, żeby potem odrodzić się znów do miłości!

Rzucił oberwany kwiatek i krzyknął:

— Oddawajcie się miłości, milady... kochajcie, jak kochają kwiaty.

Potem schwycił futerał, powstał z warkoczem roztrzepanym, skłonił się nam i odszedł, wlokąc po kwiecistej polance ociężałe nogi...

Klara śledziła go oczyma chwil kilka. Poszliśmy dalej w kierunku dzwonu.

— Zabawny grubas! — rzekła. — Zdaje się, że to niezły człeczyna...

Odpowiedziałem z oburzeniem:

— Jakże on może być „niezłym człeczyną“? Przecie to monstrum. Okropna to rzecz, że wśród ludzi może istnieć podobny potwór. Zdaje mi się, że przez całe życie, jak okropna zmora senna, dusić mnie będzie wspomnienie tej wstrętnej gęby... i tych strasznych opowieści... Taką przykrość mi sprawiasz swemi słowy... taką przykrość...

Człowiek był uczonym, badaczem mniej lub więcej genjalnym. Nauki rosły. Wynalazki, prawdy przynosiły ludzkości korzyść. Uczono się. Rosły uczelnie, pracownie, bibljoteki. W obrębie gabinetów nauk ścisłych wszystko było w porządku.

Ale gdy taki uczony wychodził z nich, wpadał w wir świata, który zwał się człowiekiem, ludzkością, społeczeństwem, obejmował w sobie skomplikowane, zawikłane życie, współczesne, przemysł, handel, politykę, walkę socjalną, sztukę, historję, klasy, warstwy, choroby, klęski, śmierć, marzenia, złudzenia, błędy, krew, namiętności, występek, świętość — cały rozwał wielkich zbiorowisk ludzkich, cały ogrom zawartości czaszki współczesnego człowieka, który żyje czynnie na szerokim świecie, walczy i zdobywa. Wtedy wszystkie genialne teoretyczne koncepcje chemii, fizyki, matematyki, biologji okazały się tak suche, tak gabinetowe, tak małe, tak niewystarczające. Wielkie odkrycia wyglądały jak sztuka, jak bezinteresowna gra wobec ociekających krwią, palących zagadnień bieżącego życia, zagadki śmierci autorytetu dla praw etycznych, etc.

Wszystkie te prawdy naukowe leżały tak bardzo daleko od tego! Człowiek, który w wielkich podręcznikach zoologji stał skromnie w rzędzie innych zwierząt w końcowym rozdziale. Człowiek w nauce stał się tak dokładnym, ścisłym, tu na szerokim świecie, wśród światła ludzkiego okazywał się przedewszystkiem twórcą tych wszystkich nauk i ścisłości! Następnie zmieniał i wyzyskiwał Naturę. Wreszcie sam w sobie stwarzał całe szeregi zjawisk nowych, które po za nim nigdzie w naturze nieożywionej ani nawet bliskiej mu Naturze zwierząt i roślin nie spotykały się wcale. Zagadnienie stosunku np. świadomości wyższej zjawisk ducha do zjawisk materji, które w pierwszych czasach powstawania poglądów naturalistycznych zdawało się tak prostem; dziś, po olbrzymim rozwinięciu się samych nauk, stało się jeszcze ciemniej ciemniejszem i zawilszem. Nauka dzisiejsza, sztuka przez swą wielkość uczyniła przepaść, dzielącą t. z. ducha od materji jeszcze większą, mózg współczesnego uczonego utworem jeszcze dziwniejszym, jego wyobraźnię jeszcze cudowniejszą i jeszcze bardziej niewytłumaczalną. Proste czynności analfabetu można by jeszcze od biedy uznać za wydzielinę mózgu ale myśli Kanta, Darwina?

Pomówimy jeszcze o trudnościach nowoczesnej filozofji i psychologji i naturalistycznych, które stoją zupełnie bezradne wobec gordyjskiego węzła: jak patrzeć na prawdy i prawa naukowe, które człowiek wyprowadza o sobie samym? Co jest absolutniejsze — co jest prawne, czy człowiek jako badacz czy jako przedmiot badania? Co uznać za prawdę: czy czyn u człowieka jego cechy i prawa czy wyobrażenia, poglądy, prawdy, które człowiek o tym czynie stanowi? Według poglądu naturalistycznego ściśle badanie człowieka może dać jedynie prawdę. Ale badaczem jest sam człowiek — sam niepoznany, pełen tajemnic, błędów, do tego nie posiadającą możności poznania bezwzględnego..!

W daleko gorszym położeniu pod tym względem, są naturalistyczne nauki społeczne, gdzie również ten sam węzeł stosunku człowieka do samego siebie przedstawia się ciemno, chociaż w innej formie.

Psychologja, antropologja, chemja, nauki socjologiczne etc., które zajęły się żywym, czynnym człowiekiem, usiłowały początkowo być dalszym ciągiem nauk naturalistycznych ścisłych. Człowiek, według ich teorji, jego psyche, wszystko, co wytwarzał, miało być dalszym ciągiem, bardziej skomplikowanym tych samych pierwotnych zjawisk natury, z których wszystko powstało. Poglądy naturalistyczne dostały się do psychologji, antropologji do nauk cocjalno-politycznych, ekonomicznych etc. Dostały się do sztuki w postaciach realizmu. Do praktycznego życia, niestety w nie najlepszych formach.

Wszędzie, w naturalistycznym poglądzie na świat, człowiek, wraz z tem wszystkiem, co w sobie nosi, został uzależnionym od najprostszych elementów Natury. Z prapierwiastki, tworzą się pierwiastki, z pierwiastków związki chemiczne, z mięszanin związków ciała fizyczne, z organizacji ciał fizycznych, ciała biologiczne, z układów elementów bjologicznych (tomarek) — organizmy; z układów indywiduów organizmy zbiorowe — społeczeństwa, ze społeczeństw, organizmy polityczne, z tego wszystkiego — ludzkość.

Wszystko uzależnia się od praprzyczyn, wszystko

— A ty — czy mnie nie zasmucasz? Dlaczego mówisz, że ten dobroduszny fanfaron jest potwór? Nic ty nie rozumiesz!.. On tylko kocha się w swojem rzemiośle, oto wszystko! Jak rzeźbiarz kocha rzeźbę, a muzyk — muzykę... A jak on dobrze mówi! Nie, doprawdy, śmiesznie to i przykro, że ani weż nie możesz zrozumieć, że jesteśmy w Chinach, w Chinach, dzięki Bogu, nie zaś w jakimś tam Hyde-Parku pośród nikczemnych burżujów, których tak ubóstwiasz! Więc według ciebie — obyczaje wszystkich krajów powinny być jednakowe... i jakie obyczaje! To dziwne! Czyż nie można zrozumieć, że wtedy, trzeba się było na śmierć zanudzić... że nie warto byłoby podróżować!..

Potem dodała z gniewnym wyrzutem:

— Ach, doprawdy, jesteś niegrzeczny. Zawsze masz na pierwszym planie własny egoizm, z pod którego ani na chwilę nie umiesz się wyzwolić, żeby mi sprawić choć maleńką przyjemność... Wiecznie jesteś ze wszystkiego niezadowolony... sprzeciwiasz się wszystkiemu, co mnie się podoba... nie mówiąc już o tem, że z twojej winy nie ujrzymy zapewne już tego, co najciekawsze...

Westchnęła smętnie.

— Oto jeszcze jeden dzień stracony na darmo... nie mam szczęścia!

Starałem się bronić i uspakajałem ją.

— Nie, nie... — upierała się przy swojem. Tyś nie mężczyzna... nawet jeszcze za życia Anni było to samo... psułeś nam również wszelką przyjemność krzywieniem się — jakbyś był pensjonarką lub kobietą brzemienną. Tacy jak ty powinni siedzieć kamieniem w domu... Bo to głupota doprawdy! Idę sobie wesoła, zadowolona... żeby doznać przyjemności, ujrzeć rzeczy nadzwyczajne, zakosztować zachwycających wrażeń... podniecić się... i nagle widzę smętną fizjognomję... No, a wtedy wszystko stracone.. Nie doprawdy, głupie to i przykre... nie do zniesienia...

Oparła się mocno na mojem ramieniu. Tak wdzięcznie nadęła usta, z taką zachwycającą tkliwością i gniewem patrzyła na mnie, żem poczuł, jak po ciele przebiegł mi dreszcz... podniosła się fala namiętności...

— A ja... robię wszystko, co ty chcesz... jak pies — dodała z westchnieniem. — Jestem pewna, że masz mnie za złą... bo lubię to, od czego ty drżysz i bledniesz... masz mnie za złą... bez serca... nieprawdaż?

I nie czekając na odpowiedź mówiła dalej:

— A czy ja nie blednę... czy nie drżę... także... inaczej to by mnie nie pociągało... Więc masz mnie za złą...

— Nie, Klaro, nie, droga moja, tyś wcale nie zła... ty...

Przerwała mi szybko, podając usta.

— Jam nie zła... ja nie chcę, żebyś mnie miał za złą.., jam poprostu kobietka... dobra... tylko ciekawa... jak wszystkie kobiety.,. A ty, ty, łaskawy panie — jesteś zmokłą kurą! Nie kocham pana wcale.. proszę pocałować pańską mateczkę, serce moje.. tylko całować trzeba mocniej... jeszcze mocniej.. jeszcze, jeszcze moc-

co ludzkie, jest tylko *skutkiem mechanicznym* poprzedzających lub otaczających człowieka zjawisk.

A człowiek?

Biernym rezultatem tego wszystkiego? On sam nic? Nic nie może? Nic nie jest w stanie zrobić, żadnego mieć wpływu na przyczynę, na własne drzewo genealogiczne, na otoczenie, na przyszłość, na swój własny los?... Wszystko na świecie, najmarniejsza rzecz, najgłupsze zjawisko może wpływać na człowieka a on nic? Na żadne, na nikogo?! Co wobec tego znaczą wszystkie szkoły, uczelnie, wszystkie zakłady wychowacze, wszystkie prawdy etyczne jeżeli człowiek nic nie może, jeżeli nie jest w stanie sam nic uczynić ani z otoczenia ani ze siebie? Co znaczą wszystkie wysiłki w kierunku udoskonalenia, poprawy jednostki czy ustroju społecznego?

Czy tak jest istotnie?

I zjawia się coraz silniejsze przekonanie, że prawda ta o bezsilności ludzkiej, jest fałszem. Teorja jeszcze może zamykać oczy. Ale praktyka?

Od najdawniejszych czasów zawsze człowiek, najbardziej nawet pognębiony wierzył w swoje siły i w możność wpływania na świat zewnętrzny i na swoje własne losy. Wiara ta jest silna, niewykrzewiona, niewygasła, jest wiecznie żyjącem, tętniącem, gorącem źródłem, ukrytem na dnie życia.

Teorje — czy to teistyczna, czy współczesna naturalistyczna — mówiły o słabości ludzkiej, o zależności od wszystkiego.

Tymczasem w praktyce?

W praktyce, od prastarych czasów tai się stara jak świat wiara, że człowiek może jednak wpływać samodzielnie na swoje własne losy. Wobec tego obok obu powyższych zjawia się trzecia hipoteza, odpowiadająca na pytanie, kto stworzył człowieka?

Człowiek jest twórcą samego siebie.

Nie Bóg, nie Natura są siły — a Człowiek.

Hipotezę tę rozbierzemy w dalszym ciągu.

Obecnie skonstatujemy jeszcze ogólnie dzisiejszy stan rzeczy pod tym względem.

Dziś żyją, istnieją dwie teorje naczelne, dwa światopoglądy, rozstrzygające po swojemu sprawę pochodzenia rzeczy i odpowiadające na pytanie: kto stworzył człowieka?

Jedna — teorja teistyczna — jest już właściwie martwą, a trzyma się zewnętrzną formą, naczyniem oraz licznemi związkami z życiem rzeczywistem, nawiązanym przez nią, tylu tysiącoleci. Z naczyniem teizmu, trzymającem się jeszcze bardzo mocno, walczą skutecznie t. z. wolnomyślni najrozmaitych rodzajów łącznie z całym szeregiem innych grup kulturalno-społecznych, którzy są przeciwnikami teizmu, szczególniej zaś w jego formach życiowych.

Druga teorja — naturalistyczna żyje w stanie rozbieża, zawieszenia. Zaliczana coraz częściej do teorji szkodliwych, utrzymujących stany, które powołała do życia — mianowicie ustrój kapitalistyczny, materjalizm, kult siły zewnętrznej etc.

Główna zasada, podstawa, że Natura — siły jej, jej zasadniczy pierwszy pierwiastek — jest twórcą wszystkiego, została zachwiana. Teoretyczny kręgosłup zmiękł, pogięła się całość. Olbrzymia budowa współczesnej nauki wraz z jej faktami i prawdami żyje pomimo tego dalej mocą swych własnych sił, rozwijając się jednak bez teoretycznego, mocnego kręgosłupa i bez podtrzymania ze strony bieżących, palących zagadnień życia.

Skutkiem tego w samej nauce panuje nieokreśloność, rozłam i zwątpienie, brak wiary i ciężkość. Ogromna większość uczonych i pseudouczonych (profesorów, asystentów, docentów etc.) „nie interesuje się filozofją". Część przyjmuje byle co, nieokreślone, do niczego nieobowiązujące X — pod które można podstawić co potrzeba w danej chwili. Nieskończoność, pramaterję, pra siłę, wielowymiarową istotę, Spiryta, Ducha, nawet bardzo określonego Boga, wyznania protestanckiego, katolickiego lub jakiegokolwiek bądź innego, który jest wygodniejszy w danej chwili. Część nic nie podstawia, ale obawia się przyjrzeć bliżej owemu X, aby nieokazał się on przerażającą, beznadziejną pustką, lub czemś, co zamąciło by spokojną pracę naukową ... na chleb powszedni i masło. (*C. d. n.*)

F. Jabłczyński.

---

niej!.. Nie, nie kocham cię już wcale ty, wymokła duszyczko... tak właśnie, jesteś zachwycająca, ale wymokła duszyczka... nic już nie jesteś wart..

Była wesoła, lecz nachmurzona Czoło jej zasępiło się jak zawsze w chwilach namiętności lub gniewu.

— No, i któż powie, żem ja nie kobieta, najzwyklejsza kobieta... wątła jak kwiatek, delikatna i wątła, jak gałązka bambusowa... i że z nas dwojga — mężczyzną w rzeczywistości jestem ja... żem warta dziesięciu takich mężczyzn jak ty!

Namiętna żądza, jaką wzbudzało we mnie jej ciało, kojarzyła się z równie namiętną litością dla jej szalonej, ginącej duszy.

Poświstując pogardliwie, dodała jeszcze następujące słowa, które tak często padały z jej ust:

— Mężczyźni!.. czyż oni rozumieją miłość.. rozumieją śmierć... śmierć, co piękniejsza jest jeszcze od miłości! Nic oni nie rozumieją... i wiecznie się martwią... wiecznie kwękają... wiecznie się krzywią bez wszelkiego powodu... dla byle drobnostki... rozpływają się w lamentach.

Jak chrząszczyk przelatuje z kwiatka na kwiatek, tak myśli Klary fruwały z przedmiotu na przedmiot. Nagle spytała:

— Czy rzeczywiście wszystko jest prawdą, co przed chwilą opowiadał ten gruby tłuścioch?

— A o co pytasz, kochana moja? Dlaczego przyszedł ci na myśl?

— Opowiadał przed chwilą, że w kwiatach bywa niekiedy dwudziestu samców na jedną samicę? Czy to prawda, powiedz?

— No tak, rozumie się...

— Prawda? Czy zupełnie tak właśnie bywa?

— Bez wątpienia, tak bywa.

— I on nie drwił z nas... ten tłuścioch? Jesteś tego pewny?

— Jakaś ty śmieszna... pocóż pytasz o to? Czemu tak dziwnie błyszczą twe oczy? Mówię ci przecie, że powiedział prawdę.

— Ach!..

Zamyśliła się i na chwilę zamknęła oczy... Oddychała ciężko... tchu jej brakowało. Potem złożyła mi głowę na piersi i rzekła szeptem, żem ledwie usłyszał:

— Chciałabym być kwiatem... chciałabym być... dla wszystkich...

— Klaro! — mówiłem do niej błagalnie. — Klarciu moja!..

Objąłem ją mocno... ukołysać ją chciałem w objęciach...

— A ty? nie? tybyś nie chciał? O! ty wolisz życie całe być duszyczką zamokłą! Uh!.. obrzydły...

Chwil kilka szliśmy w milczeniu. Słychać było tylko, jak czerwony piasek chrzęści pod naszemi ociężałemi stopami. Potem Klara zaczęła mówić śpiewnym głosem:

— Chciałabym... kiedy umrę, żeby położono mi do trumny coś wonnego... kwiaty rutwicy... i obrazy...

O CELU SZTUKI.

Czem jest sztuka i jakie ma zadania? — oto pytanie, które zawsze najmniej może interesowało artystów a najwięcej tych, którzy z twórczością nie mają nic wspólnego. Od wieków łamali sobie nad niem głowy różni powołani i niepowołani. Krytycy, chorujący na kompletny brak zmysłu twórczego, układali reguły sztuki i pouczali początkujących artystów, jak mają tworzyć; a profesorowie, którzy doczekali się łysiny, zanim sklecili choć jeden wiersz, pisali grube tomy o transcendentalnej idei piękna.

Wszystkie niemal dotychczasowe teorje sztuki popełniały jeden grzech pierworodny: widziały tylko dzieło a nie dostrzegały twórcy; artysta był dla nich nieuniknionym dodatkiem do dzieła, jego indywidualność rzeczą podrzędną, jeżeli już nie szkodliwą. Opierając się na dziełach, które były, pisano reguły dla źródeł, które będą. Boileau, twórca nieomylnych kanonów dla wszystkich rodzajów poezji, był jednym z typowych przedstawicieli tej szczególnej ślepoty, wrogiej wszelkim przejawom indywidualności. A na tę ślepotę cierpieli w mniejszym lub większym stopniu przedstawiciele najrozmaitszych kierunków: klasycy i romantycy, brutalni naturaliści i poczciwi moraliści. Można było pomyśleć, że szatan produkcji towarowej opętał pp. krytyków, aby w dziełach sztuki widzieli tylko produkty o pewnej wartości użytkowej i wymiennej, niezależnej od osoby producenta. Przypominali w tem bardzo trzeciorzędną publiczność, kształconą na sensacyjnych romansidłach: umie ona jednem tchem wymieniać tuziny tytułów powieści i oper albo nazw obrazów, tylko autorów nie pamięta; bo czy nie wszystko jedno, kto tam pisał czy malował, byleby sama rzecz była dobra.

Sztuka modernistyczna zmiotła te formułki i postawiła indywidualność na najwyższym piedestale.

Dziś w naszej, polskiej sztuce zagroziło indywidualności nowe niebezpieczeństwo. Rwące prądy nowych ruchów społecznych, podkopujące zmurszały gmach dawnych stosunków, chcąc zaprządz sztukę do swego rydwanu i zrobić z niej służebnicę polityki. Wszak w 1905 roku ze szpalt „Głosu" i in. organów wołano do poetów polskich, by nie milkli wśród burzy, lecz śpiewali o nowej walce i nowych hasłach. Daremne nawoływania! Pierwszym warunkiem sztuki jest szczerość: piękno tylko z własnej duszy może być wysnutem, a powtarzanie cudzych motywów nigdy artyście pożytku nie przyniesie. Że motywy proletarjackie mogą zrodzić dzieła piękne, nie ulega wątpliwości: świadczy o tem Gorkij i Haupmann, i Hijermans i Żeromski. Lecz narzucanie poetom tematów im obcych może wydać tylko takie poronione płody, jak „Kniaź Potiomkin" Micińskiego, „Rewolucja" Tetmajera i t. p. karykatury.

Na szczęście takie odskakiwanie i wspinanie się do obcych, nieodczutych tematów nie jest zjawiskiem powszechnem. Natomiast wpływy chwili dziejowej inne wywołają skutki. Pewna część krytyki skłonna jest do przeceniania społecznych czynników twórczości; doszukuje się ona w sztuce przedewszystkiem odbicia stosunków w społeczno-politycznych i wyrazu tej lub innej ideologji klasowej. Jest to metoda z gruntu fałszywa i jednostronna. Sztuka jako zwierciadło życia, czy jako przewodniczka życia, nie ma racji bytu. Gdyby sztuka była tylko obrazem epoki, czyli swego rodzaju studjum społecznem, — lub też propagandą idei w formie artystycznej, wówczas trudno byłoby wytłumaczyć olbrzymią rolę sztuki, właśnie jako takiej, w różnych epokach dziejowych. Jeżeli Fidjasza lub Benvenuta Celliniego czczono jak półbogów, to nie da się to wyjaśnić społeczną treścią ich arcydzieł, aczkolwiek nie da się zaprzeczyć, ze współczesne im warunki społeczne stworzyły podatny grunt dla zamiłowanie sztuki wogóle a pojmowania ich tworów w szczególności. Treść społeczna, jako kategorja zmienna, nie zdoła nam wyjaśnić tego właśnie, co w sztuce jest niezmienne i wieczne. Nie wytłumaczy nam ona, dlaczego architektura starożytna, malarstwo czasów Odrodzenia lub dramaty szekspirowskie wywierają na nas silne wrażenie, mimo że warunki społeczne, które dały im życie, odmienne

---

jak te, które wiszą u mnie w pokoju... Wizerunki obnażonych, gorejących namiętnością ludzi. Albo... chciałabym być pochowaną nago... bez całunu... w piwnicach świątyni Elephanty... wraz z temi dziwnemi bachantkami z kamienia... które tak płomiennie pieszczą się nawzajem... z taką okrutną pożądliwością... Ach, mój drogi... chciałabym być martwą...

Potem dodała niespodzianie:

— Kiedy trup leży w trumnie... nogi opierają na desce?

— Klaro! — błagałem. — Pocóż wciąż mówić o śmierci? I dziwisz się, żem smutny?... Czyż mogę nie być smutny?... Błagam cię... nie doprowadzaj mnie do szaleństwa... porzuć te okropne myśli... zadają mi one tyle męki... i... wróćmy... miej litość nademną, Klaro, chodźmy stąd...

Lecz nie słuchała mnie i mówiła dalej tonem, jakiego dotąd u niej nie słyszałem. Doprawdy... nie mogłem zrozumieć, czy mówiło przez nią wzburzenie... czy szydziła ze mnie... czy w słowach jej dźwięczały łzy nerwowego rozprzężenia czy wstrzymywany śmiech:

— Jeżeli będziesz przy mnie, kiedy umrę... słuchaj uważnie, serce ty moje... włóż mi do trumny ładną żółtą jedwabną poduszeczkę... między memi biednemi nóżkami a deską.. potem... potem musisz zabić mego pięknego psa laoskiego i położyć go zbroczonego krwią obok mnie... przecież on zawsze leży koło mnie... z łapami na moich piersiach... Ucałuj mnie następnie długim... długim pocałunkiem w usta... pocałuj me włosy... i powiedz mi... powiedz coś miłego... szepnij mi coś pieszczotliwego, upajającego... to, co mówisz zwykle, kiedy jestem twoją.. w objęciach twoich... Dobrze? zrobisz to, o co cię proszę... powiedz, drogi? Obiecujesz? Ach, nie rób że takiej miny pogrzebowej... umierać wcale nie jest ciężko... ciężko jest żyć bez szczęścia... przysięgnij! przysięgnij, że spełnisz mą prośbę...

— Klaro! Błagam cię! Klaro! Nie mów tak...

Nerwy moje nie wytrzymały... łzy chlusnęły z oczu... Nie umiałbym wytłomaczyć przyczyny tych łez. Nie były to łzy gorzkie, przeciwnie, jakby uspokoiły mnie... I Klara myliła się sądząc, żem płakał z żalu o nią. Nie nad nią płakałem, nie nad jej zepsuciem, nie nad jej biedną chorą duszą... I nie dlatego, że mówiła o swej śmierci... Płakałem może nad samym sobą, żem znalazł się w tym ogrodzie... Opłakiwałem tę przeklętą namiętność, która profanowała wszystko, co podnosiło się we mnie teraz: wszelkie podniosłe porywy, szlachetne dążności... wszystko to gasło pod tchem nieczystym tej nikczemnej namiętności, której jednakże pragnąłem. Nie, pocóż kłamać przed samym sobą? Były to poprostu łzy zmęczenia, fizycznego zmęczenia... ze słabości... z gorączki... ze znużenia nerwowego... od wszystkich tych krwawych widowisk, których przenieść nie mogłem w swojem przygnębieniu... od odurzających zapachów, drażniących mój węch, od nowych wrażeń, od niezaspokojonych namiętnych pożądań... Ściślej... były to poprostu kobiece łzy... ni z tego, ni z owego... *(C. d. n.)*

były od naszych. Rzecz jasna, że punkt widzenia społeczny nie wyświetli istoty rzeczy. Przytem różne rodzaje i dziedziny sztuki w niejednakowym stopniu dadzą się zanalizować z tego stanowiska. Weźmy np. malarstwo rodzajowe i pejzażowe albo powieść i lirykę erotyczną. Formalnie mają one to wspólne, że wszystkie były przeznaczone dla publiczności a więc miały zaspokoić potrzeby estetyczne pewnego środowiska społecznego. Lecz jeżeli rozpatrzymy materjał ich twórczy, przekonamy się, że pochodzi on z najróżnorodniejszych dziedzin. Jeżeli w powieści lub malarstwie rodzajowem odzwierciadlają się w tej lub innej formie stosunki społeczne, to pejzaż bierze swe motywy z przyrody, a liryka miłosna — z dziedziny czysto osobistych uczuć i nastrojów, które, aczkolwiek, mogą być typowemi dla pewnych grup psychicznych, bezpośrednio jednak niczem nie są związane z warunkami społecznemi.

Jeżeli chcemy więc określić istotę sztuki, musimy wybrać inną drogę. Musimy wyjaśnić sobie proces psychiczny, tkwiący w podłożu twórczości artystycznej. Dopiero, gdy zbadamy ten proces, jako funkcję indywidualną, możemy potem uwzględnić warunki społeczne, jako czynnik określający w znacznej mierze kierunek twórczości, rozszerzający zakres jej motywów i komplikujący rozwój sztuki całym szeregiem zmiennych oddziaływań i wysuwanych zagadnień.

Lecz nasze życie psychiczne jest produktem wielowiekowego rozwoju. Przez miljony pokoleń i gatunów poczynając od najniższych form świata organicznego, musiał się rozwijać nasz układ nerwowy, wraz z wyrastającemi na jego tle czynnościami psychicznemi. Centralizacja tego układu wytworzyła mózg — środek świadomego życia psychicznego, podczas gdy środkiem życia psychicznego nieświadomego jest rdzeń pacierzowy.

Jednem więc źródłem życia psychologicznego jest układ nerwowy, przekazany nam przez minione pokolenia. W nim to kwią w stanie utajonym wyobrażenia i uczucia, doświadczane niegdyś przez naszych praojców. W psyche swojej mamy ich cały skarbiec. Są one nieświadomem podłożem naszej sfery wzruszeniowej, tłem, na którem rozsnuwają się żywe wzory wrażeń i uczuć, przychodzącej do nas z drugiego źródła ze świata zewnętrznego. Napływ nowych, pokrewnych, czynników może je obudzić z uśpienia: wówczas przechodzą one do dziedziny świadomości, wzbogacają ją i rozszerzają.

(C. d. n.) *Henryk S. Kamieński.*

E C H A.

KTO TOLERUJE PANA RAJCHMANA?

Już od paru miesięcy na szpaltach pism codziennych — zaczęło figurować nazwisko Rajchmana nie w rubryce *ogłoszeń* ani reklamiarskich wzmianek upstrzonych superlatywami: „nasz dzielny", „nieznużony", „pomysłowy" etc., — lecz w rubryce „Listów do Redakcji" i „Kroniki sądowej".

Cóż takiego zaszło, iż pisma zrozumiały nareszcie, że rubryka ostatnia jest najwłaściwszą dla sprawozdań o sławetnym *directeur gerant* spółki pp. Lubomirskich, Zamojskich, Reszków, Kronenbergów, Grossmanów i t. p?

Zaszła rzecz — dla oka przeciętnej publiczności — niezwykła, a dla krytyków muzycznych, artystów i dziennikarzy — aż nadto zwykła: — *rachunki Zarządu Filharmonji po koncercie na pomnik Chopina* wykazały honorarjum artystom i za salę w kwocie rb. 1892!

Powstał alarm. „Jakto? więc nasi artyści: Leliwa, Korolewicz, Ursztejn — wzięli honorarjum za taki koncert?"

Pan Rajchman zdemaskował „chciwość" polskich artystów!

Ale ci „niewdzięczni" artyści zaczęli demaskować z kolei p. Rajchmana!

Sprawa koncertu Chopinowskiego przybrała w końcu takie kształty, wykryła tyle brudów, że i my, wkładając rękawiczki — musimy zrezygnować na zajęcie szpalty osobnikiem, o którym od lat kilku unikaliśmy wzmianki.

Maleńka nasamprzód dywagacja...

W jesieni w № 293 »Epoki« przeczytliśamy taki *historyczny* artykulik:

»Jakiemi metodami działania posługują się czasami ludzie, zajmujący w świecie wybitniejsze stanowisko społeczne — świadczy wymownie poniższa kopja prośby do oberpolicmajstra warszawskiego.

Do Jego Ekscelencji Pana Oberpolicmajstra warszawskiego, Dyrektora Filharmonji warszawskiej Aleksandra Rajchmana, — mieszkającego przy ulicy Mokotowskiej Nr. 5.

PROŚBA.

Na ulicach miasta jak również w cukierniach i kawiarniach rozdawane są drukowane arkusze, załączonej przy niniejszem formy, z podpisem Franciszka Poleskiego, mieszkającego przy ulicy Smolnej pod № 7, w których wymieniony Poleski obraża w wyrazach obelżywych i oskarża mnie oraz cały zarząd Filharmonji o różnego rodzaju nadużycia.

Wskutek różnorodnych listów Poleskiego, wszcząłem sprawę w warszawskim Sądzie Okręgowym. Biorąc pod uwagę. że wzmiankowana odezwa wydrukowana została *z pogwałceniem przepisów prasowych i nie wskazano w niej adresu drukarni*, z drugiej zaś strony wymieniony Poleski w ogłoszeniach wydrukowanych dzisiaj w gazecie »Przegląd Poranny« i innych, kłamliwie uchyla się od autorstwa listu (z dnia 13-go lipca), mam zaszczyt prosić Waszą Ekselencję, aby, w celu zebrania dowodów winy Poleskiego dla sądu oraz w celu pociągnięcia winnego drukarza do odpowiedzialności — *wydał rozporządzenie zarządzenia rewizji w mieszkaniu Poleskiego* (*Smolna* 7) *i skonfiskowania będących w jego posiadaniu egzemplarzy* obydwóch listów z dnia 25 czerwca i 13 lipca, oraz odebrać od niego zeznanie protokularne, *gdzie były drukowane*.

A. Rajchman.

Kopja powyższej prośby poświadczona jest przez rejenta Jana Bieżyńskiego i opatrzona Nr. rejestru 2918. Bez komentarzy«...

Nieco później w Nr. 307 z dnia 23/XI w tejże »Epoce« czytamy notatkę: »Dlaczego wiadomość podana przez nas przed tygodniem o przesłaniu przez dyrektora Filharmonji p. Rajchmana na ręce oberpolicmajstra warszawskiego prośby, domagającej się zarządzenia rewizji w mieszkaniu p. Poleskiego — nie została dotychczas wyjaśnioną?

Epoka chętnie udzieli na to dyr. Rajchmanowi swych łamów...«

Ale... ktoś z miasta wykupił prawie cały Nr. 293— zaś p. Rajchman *milczał*.

Milczał również Zarząd Filharmonji, akcjonarjusze; milczało społeczeństwo owem milczeniem, które posiada doniosłą siłę komentarza...

Tymczasem p. Rajchman rzuca pod przysięgą insynuację na opinję p. Poleskiego. . Na co zjawia się we wszystkich pismach poznańskich i w niektórych warszawskich deklaracja księgarzy poznańskich — zaprzeczająca słowom p. Rajchmana.

I na to — Zarząd milczy, przyglądając się spekulacjom „sprytnego" dyrektora.

Nareszcie... ów niefortunny koncert... Chopina.

Umarli czasem — bywają mściwi...

P. Rajchman sprobował „milczeć". Zrazu nie odpowiadał na głosy prasy, domagającej się *rachunku* z koncertu Chopina. Jeden z dowcipnisiów pisał wprost: „Panie Aleksandrze, zaprzyjaźniłeś się z Chopinem i pożyczyłeś u niego 3000 rb." A „Goniec" pisze: „Co to jest? jest *ktoś* w Filharmonji bardzo wpływowy, co wchodzi do buchalterji i fałszuje kwity".

Na takie dictum Zarząd drukuje sprawozdanie..

Byłoby lepsze milczenie. . Dokument Zarządu rozwiązał nareszcie usta i poruszył sumienie... tych, poza którémi p. Rajchman prowadził pomysłową buchalterję.

Nie możemy podawać szczegółowych listów pp. Ursztejna, Leliwy i pani Korolewicz. Wszyscy troje stwierdzili publicznie fakty, że p. Ursztejn nie brał pieniędzy za udział, że pani Korolewicz była opłaconą z *funduszu pomnikowego* jako *artystka opery*, względem której *dyrekcja opery* miała zobowiązania. Słowem, — z rachunków Zarządu, z listów artystów — wyraźnym jest jak na dłoni fakt: 1) zdzierstwa towarzystwa (600 rb. za salę), 2) wypłacania artystom zobowiązań Filharmonji kosztem funduszu na rzecz pomnika Chopina! Z procesu nadto p. Leliwy z p. Rajchmanem, który mu nie chce wypłacać należności, z listu pr. Ursztejna i buchaltera Korenbkena (Now Gaz. 27/IV), z protestu p. Korolewicz, znać wyraźnie jakąś gmatwaninę rachunkową w interesach Filharmonji, o której *Zarząd i akcjonarjusze wiedzieć muszą*.

Zwracamy zatem uwagę Zarządu: pp. Lubomirskiego, Reszkiego, Zamojskiego, Kronenberga i in. — że czas nareszcie szanownym panom przekonać się, że osoba p. Rajchmana — nie przynosi zaszczytu ani instytucji, ani jej akcjonarjuszom, których można będzie posądzać o tolerowanie czynów Zarządzającego.

Czas tym panom otrząsnąć się z mniemania, że „w Warszawie niema człowieka tak sprężystego, jak Rajchman". Przecie pomimo tej „sprężystości" instytucja przestała nieść sztandar sztuki, a ludzie pracujący z panem dyrektorem kończą częstokroć stosunki procesami. To szkodzi instytucji. Pomijamy fakty dawnej działalności „nieartystycznej" p. Rajchmana, jako to: pułapkę na p. Leperta, wyżej zacytowany list, terrozywanie krytyki. Idzie tu już nie o osobę p. R., lecz o opinję i istnienie instytucji. Jeżeli p. Rajchman miał w tem zasługę — no... to chyba dawno, według słów pisma św., „wziął zapłatę swoją".

Powtarzamy raz jeszcze: nie idzie nam o osobę zarządzającego, lecz o dobro sztuki polskiej, z którą *administracyjne* (?) zdolności p. Rajchmana nie mają nic wspólnego. Wobec zarzutów wytoczonych panu Rajchmanowi — instytucja powinna albo zawiesić go w pełnieniu obowiązków do wyjaśnienia sprawy sądowej z pp. Poleskim i Leliwą, albo nawet — zerwać kontrakt z dyrektorem, który procesami, targami, terrorem, niewypłacalnością może do reszty zamienić Filharmonję z jednej strony na przytułek tingletanglu, a z drugiej — niedozwolonych przez prawo karne i poczucie uczciwości manipulacji rachunkowych.

A. Miller.

LUDWIK STANISŁAW LICIŃSKI.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Otwocku w 34 roku życia Ludwik Stanisław Liciński — autor „Pamiętnika Włóczęgi", „Halucynacji" i wielu innych pierwszorzędnej wartości utworów satyrycznych, (drukowanych przeważnie w „Głosie"). Zmarł właśnie teraz, gdy po długich latach głodowych udręczeń, które zatruły pierś jego śmiertelną niemocą, uśmiechało mu się pogodniejsze jutro; gdy pierwsza jego większa książka „Pamiętnik Włóczęgi" zdobywała sobie coraz większe uznanie.

Śmiertelny wróg obłudy i filisterskiego gnicia, entuzjastyczny czciciel prawdy, głęboki i bolejący człowiek — oto najwłaściwsze bodaj określenie dla tego przesmutnego satyryka, który przez usta bohatera swego powiedział, iż poparzył sobie wśród ludzi duszę. A poparzył swą duszę tak boleśnie, iż w końcu radość stała się dla Licińskiego rozpaczą, a ból radością. Zapatrzony w głębię życia przez miłość do ludzi i przez nienawiść do ich nieludzkich okrucieństw stał się sam okrutnikiem, zdzierajacym brutalnie i z szaloną wściekłością maski z ich snobich dusz. Ostrze satyry Licińskiego godziło w zło z tak rozpaczliwą mocą, iż zdawało się chwilami, że w promieniach śmiechu autora „Włóczęgi" bezwstyd rumieni się ze wstydu...

P.

TESTAMENT.

Już zwiędły kwiaty na życia mej glebie,
Zostały po nich jeno nędzne szczątki...
Wszystko, co mogę, dziś wam daję z siebie
Na bytu mego wieczyste pamiątki...

Bo już odchodzę od was... I w noc ciemną
Głuche, grobowe mnie pogrążą lochy,
Lecz ma puścizna mocą swą tajemną
Przetrwa o wieki dłużej, niż me prochy...

To, com tak długo obliczał i ważył,
Co, jak cekiny, ciułałem wciąż w trudzie,
I to, czem żyłem, com śnił i com marzył
Z sobą nie biorę — zostawiam wam, ludzie..

Wam, coście jarzmo hańbiącej niewoli
Pragnęli wtłoczyć na silne me barki,
Abym, pomimo swych czuć i swej woli,
Giął, jak gną inni tchórzliwe swe karki;

Wam, coście chcieli zdradą judaszową
Uczynić nademną gwałtu straszną zbrodnię,
By móc zagłuszyć moje śmiałe słowo
I mojej prawdy zagasić pochodnię;

Wam, coście chcieli pod brudne swe nogi
Rzucić bezplame czoło moje harde,
Aby w pokorze drżało pełne trwogi,
Wam — pozostawiam w puściźnie — pogardę...

Wam, coście ku mnie, gdy ja w głodu męce
Padałem słaby, bezsilny i blady,
Z nędzną jałmużną wyciągali ręce.
Dając wraz z chlebem mi poniżeń jady;

Wam, coście moje palili namioty,
Abym bezdomny, tłukąc się śród drogi
W upalne żary i jesienne słoty,
Szedł po schronienie aż pod wasze progi;

Wam, coście strojów swych świetne przepychy
Przedemną słali, chcąc tem wzbudzić zawiść,

Gdy mnie od chłodu chronił łachman lichy,
Wam — pozostawiam w puściźnie — nienawiść...

Wam, coście chcieli nałożyć wędzidła
Na myśli mojej podniebiańskie loty,
I mojej duszy orle zszarpać skrzydła,
Kiedy wzwyż biegła sen swój marzyć złoty;

Wam, coście kołem morderczej tortury
Chcieli mi z serca wyrwać świętą wiarę,
Bym padł na waszych ołtarzy marmury
I czcił bezmyślnie wasze bogi stare;

Wam, coście chcieli uczuć moich kwiaty
Słońca pozbawić, aby to męczeństwo
Mnie zniewoliło wam czynić objaty,
Wam — pozostawiam w puściźnie — przekleństwo...

Już zwiędły kwiaty na życia mej glebie,
Zostały po nich jeno nędzne szczątki...
Wszystko, co mogę, dziś wam daję z siebie
Na bytu mego wieczyste pamiątki...

Marceli Sachs.

NA WIDNOKRĘGU.

Kilkakrotnie już zaznaczaliśmy na tem miejscu, iż przedział istniejący między endecją a demokracją chrześcijańską z każdym niemal dniem pogłębia się coraz wyraźniej i prowadzi do zupełnego rozłamu i wojny.

Na tle sprzecznych dążeń cicha niechęć przetwarza się w głośną i niedwuznaczną nienawiść, wybuchającą od czasu do czasu jaskrawszym płomieniem. Już nawet czarno-klerykalne pisemka nie ukrywają przed czytelnikami swych obaw. I nie dziw: z jednej strony budzący się ku samodzielnemu istnieniu ruch umysłów wśród ludu, z drugiej zaś strony narodowa-demokracja, dążąca do pohamowania zakusów rozwydrzonych i rozpolitykowanych czarnych pelerynek... A zły ten omen zapowiada, iż rzeczywistość może być jeszcze gorszą, gdyż nawet tak wypróbowany środek, jak fałszywa denuncjacja poczyna zawodzić. Ileż to naprzykład zabiegów i pracy poświęcono sprawie zdyskredytowania kółek Staszicowskich, ileż to razy wyssano z palca bajkę, iż kółka samopomocy ludowej posiadają jakąś tajną ustawę, którą się rządzą. A ileż w tę plugawą robotę włożono energji i uzdolnienia, których niejeden zawodowy prowokator mógłby naszym przewielebnym pozazdrościć.

Wracając jednak do rozłamu między sferami, hołdującemi narodowo-demokratycznej mądrości a demokracją chrześcijańską, godzi się zaznaczyć charakterystyczny zatarg, jaki wynikł między biskupem lubelskim Jaczewskim a miejscowem pismem »Ziemią«. Istota zatargu polega na tem, iż »Ziemia« w artykule p. t. »Puchnąć zaczynamy« wystąpiła ostro przeciw księżom, popierającym przemysł niemiecki z rzeczywistym uszczerbkiem dla krajowej produkcji.

W artykule rzeczonym między innemi czytamy:

»Takie fakty, jak obstalowanie u obcych organów za 7000 rubli przez zarząd kościoła po-Bernardyńskiego w Lublinie, gdzie proboszczem jest ks. Józef Pruszkowski, a wikarjuszem ks. Samorek, takie fakty, jak sprowadzenie do katedry płockiej za ogromne pieniądze witrażów z niemieckiej fabryki Drixa w Kavelaer; lub jak zamówienie u niemców ołtarzy za 5700 rubli; takie fakty ryją w duszy i sercu każdego polaka niezapomniane bolesne szramy.

»Człowieka porywa wściekłość nawet pisząc o tem. Więc, gdy tyle pierwszorzędnych naszych zakładów stolarskich i pozłotniczych dzisiaj przechodzi kryzys, gdy setki zdolnych. pracowitych rzemieślników szuka roboty bodaj przy kamieniach na szosie, księża za krwawy grosz polskiego ludu, sprowadzają za 5700 rubli ołtarz, klecony niemieckiemi rękami — żmij hakatyzmu. I będą przy tym ołtarzu błagać codziennie Boga: »Chleba powszedniego daj nam dziś, Panie«. Doprawdy pozostaje tylko, aby zaczęli sprowadzać z Hamburga mąkę na Hostje i Komunikanty«.

Rozumie się, że tak ostra krytyka wywołała niemałą wrzawę w tak bardzo bogobojnem mieście jak Lublin. Wrzawę tem większą, im trudniejszem było zaprzeczenie prawdzie słów powyższych. Spróbował to uczynić biskup lubelski, wystosowując w osławionym »Polaku-Katoliku« artykuł p. t. »Ku rozwadze Ziemi Lubelskiej«. W elekubracji tej lubelski dostojnik broniąc księży, stara się, pełen świętobliwego oburzenia przekonać »Ziemię«, że podała informację błędną i że zresztą polacy produkują niedbale i tem należy wytłumaczyć sympatje, jakiemi kler otacza niemców. Bez względu na podpis biskupi, co nie tak dawno jeszcze stałoby się argumentem zamykającym usta redakcji, »Ziemia« lubelska wystosowała ze swej strony list otwarty, gdzie potwierdzając dawny swój pogląd, zaznacza, że zupełnie nie bierze na serjo słów biskupa, który swoją powagą — powagą powiedzmy malowaną — osłabia egoizm i głupstwo podległych jego władzy księży. Ów list należałoby właściwie zatytułować »Ku rozwadze biskupa«; mimo bowiem pełnego uszanowania tonu, z jakim przemawia »Ziemia« wynika zeń jasno, że jedno z dwojga: albo biskup lubelski jest blagierem, broniącym świadomie sprawy z góry przegranej, albo też nie wie co czyni i poddaje się wpływowi pierwszego lepszego filuta w sutannie, który za jakąbądź cenę pragnie otrzymać prowizję kupiecką choćby z niemieckich fabryk, gdy z krajowych brać nie wypada.

Poniżej przytaczamy jeden z końcowych ustępów rzeczonego listu: »Nie wiedząc o tem, że Wasza Ekscelencja została w błąd wprowadzona przez fałszywych informatorów i że nadużyto zarówno zaufania jak i imienia Waszej Ekscelencji, społeczeństwo nasze mogłoby z bolesnem zdumieniem upatrywać w artykule, opatrzonym Jej podpisem, że Dostojnik Kościoła wystąpił przeciwko zasadzie samopomocy narodowej, przeciwko potępianiu tych, którzy tę zasadę depczą«.

Jaki będzie wynik tej polemiki przewidzieć trudno. Kto wie, może księża lubelscy oburzeni na »Ziemię« wyklną ją w najbliższej przyszłości z ambon, obecnie bowiem wyklinanie takie jest nader modnem. Zwolna, zwolna ambona stała się gadalnicą, z której kapłani wygłaszają przekleństwa przeciw tym, których na pasku prowadzić nie mogą. Że dyjecezja lubelska nie jest pod tym względem lepszą od innych, świadczy list otwarty, umieszczony w »Ziemi Lubelskiej« przez jednego z parafian Krasnostawskich pod adresem miejscowego proboszcza Majewskiego. »W dniu 5 kwietnia — czytamy — ks. Majewski mnie, niżej podpisanego Adama Nowackiego, wywołał z ambony, jakobym był gorszy od marjawitów, że zły przykład daję całej parafji, że nietylko sam nie chcę zapisać się do »Związku Katolickiego«, ale i innych odmawiałem od wstąpienia do tegoż Związku. Nie obiecywałem nigdy — tłomaczy się autor — że do Związku Katolickiego wstąpię i odrazu jawnie oświadczyłem, że uważam za zbyteczne zakładanie nowego związku wobec istniejącej Macierzy. Postąpiłem w tym wypadku, zdaje mi się, więcej konsekwentnie, niż ks. M., który sam zachęcał do wstępowania do Macierzy, sam ją uroczyście poświęcił, a później swoje dzieło bojkotował, sprowadził do Krasnegostawu jakieś damy i te publicznie lżyły Macierz, jedyną polską oświatową instytucję«.

Jak zwykle z początkiem wiosny, większość mniejszych miast naszych narażona jest na perspektywę

wszelkich epidemji, aż do cholery włącznie. Jak dalece niebezpieczeństwo to jest zawsze groźne świadczyć może korespondencja z Łaz, umieszczona w »Kurjerze Zagłębia« »Kamienicznicy nasi — czytamy — nie okazują najmniejszych chęci do uzdrowotnienia swych kurników i chlewów, przez galanterję chyba zwanych kamienicami. Właściciel jednego z domów p. L. z kamienicy swej wyprowadził na ulicę rurę klozetową, wskutek czego utworzyło się woniejące jezioro tuż obok najruchliwszej ulicy, wzdłuż linji i ścieżki prowadzącej do fabryki cementu«.

Nic dziwnego, że mieszkańcy Łaz zazdrosnem okiem spoglądają na Sosnowiec, gdzie komisja sanitarna wykryła cały szereg gniazd zarazy. O, gdybyż komisja taka zjechała do nas na gościnne występy — wzdycha korespondent — ogół mieszkańców przyjąłby ją z uznaniem.

Nie wszędzie jednak ogół mieszkańców przejawia taką troskę o błogostan rodzinnego miasta. Gdzieindziej nie pozwala na to obywatelom brak czasu, który spędzają przy zielonym stoliku. Jak Królestwo długie i szerokie, zaznacza jeden z korespondentów »Gazety Radomskiej«, karty stanowią wyłączną prawie formę, za pomocą której ludzie szukają zaspokojenia swoich potrzeb towarzyskich. Pierwsze bodaj miejsce zajmuje pod tym względem Ostrowiec, gdzie niedawno założono resursę, poświęconą oczywiście niemal wyłącznie grze w karty. Dzięki tej nowej instytucji użyteczności publicznej Ostrowiec na równi z Pacanowem zdobył sobie prawo do sławy i uznania całego kraju.

Jak komunikuje »Gazeta Radomska« niedawno odbył się w salonach owej »Resursy« 40-to godzinny rekord wytrzymałości przy... zielonym stoliku. Od 16-tu do 20-tu godzin przeciętnie — większość jakoś wytrzymała bez szwanku na zdrowiu (o kieszeni niema mowy), ale do godzin 40-tu zaledwie czterech znalazło się uzdolnionych do podobnego heroizmu.

Jak widzimy, nie brak nam ludzi dzielnych.

Asper.

KRONIKA.

— W Lublinie w zeszłym tygodniu zaszedł szereg krwawych wypadków. Na ulicy zabito komisarza policji Saksa, podoficera żandarmerji Ochrymienkę i dwuch policjantów. Z powodu tego dokonano rewizji w kilku mniejszych fabrykach. Na wykrycie sprawców zamachów policja naprowadzoną została w okolicznościach, które przytaczają pisma miejscowe. „W ubiegły wtorek po zabójstwie podoficera żandarmerji, Ochrymienki, prz ulicy Królewskiej, oprócz podrzuconej przez zabójców, w bramie domu p. Zawadzkiej, bomby, napełnionej melinitem, policja przytrzymała postrzelonego przypadkowo podczas zajścia 19-to letniego Antoniego Stasiaka, robotnika z fabryki Mrritza. Postrzelonego przewieziono do szpitala Szarytek; podczas rewizji osobistej przy Stasiaku nie znaleziono nic podejrzanego. Po dokonaniu rewizji w mieszkaniu Stasiaka, przy ulicy Zamojskiej pod nr. 268, w specjalnie urządzonem ukryciu znaleziono oprócz sporej ilości literatury nielegalnej, bombę podobną do tej, jaką znaleziono po zamachu. Wtedy dopiero Antoni Stasiak przyznał się, iż należał do bojówki P.P.S. frakcji rewolucyjnej i że z polecenia tej partji wraz robotnikiem z fabryki Hessa, 19-no letnim Bronisławem Czarkowskim i 16-to letnim Kazimierzem Czyżewskim, byłym robotnikiem od stolarza Czajki, zabił komisarza Saksa; następnie Stasiak zeznał, iż razem z wymienionemi towarzyszami w ubiegły wtorek zabili żandarma Ochrymienkę. W piątek nad ranem policja aresztowała Czarkowskiego i Czyżewskiego, którzy również przyznali się do spełnionych zbrodni. W dalszym ciągu Stasiak zaprowadził i wskazał w swojem mieszkaniu policji miejsce gdzie miał ukryte dwie bomby, 500 sztuk ładunków, oraz dwa brauningi.

Czyżewski zeznał, iż swój rewolwer ukrył w Saskim ogrodzie, wobec czego wczoraj rano policja przyprowadziła go do ogrodu dla wskazania miejsca; istotnie w miejscu tem znaleziono zakopany w ziemi rewolwer, oraz sporą ilość nabojów. Czarkowski zeznał, iż był naczelnym dowódcą oddziału bojowego w Lublinie i po zabójstwie Ochrymienki, kiedy dokonywano masowych rewizji, rewolwer swój wraz z ładunkami rzucił do klozetu. Aresztowani zeznali również, iż byli w dobrych stosunkach z uczestnikami napadu na pocztę w Strzeszowicach, Ciupą i Syską, któremu zabrali podczas jego nieobecności bez jego wiedzy z mieszkania rozmaite rzeczy: jako to garderobę, zegarek i t. p. Aresztowani oświadczyli, iż udziału w napadzie na pocztę w Skrzeszowicach nie brali, jak również niebrali w zabójstwie policjantów. Wszystkich trzech bojowców zakuto w kajdany".

— W Kielcach zabity został naczelnik dyrekcji naukowej, Afanasjew.

— W Lublinie otwarto bibljotekę publiczną im. Hieronima Łopacińskiego. Zebrano z ofiar przeszło 2,000 książek i mnóstwo sztychów.

— Pisma wileńskie podały informacje o wykryciu wśród młodzieży gimnazjalnej obojga płci w Mińsku stowarzyszenia, uprawiającego rozpustę na wielką skalę, p. n. „Liga wolnej miłości". Mińska geza rosyjska „Siewierozapadnoje słowo" podała wyjątki z ustawy tej ligi. We wstępie do ustawy powiedziane jest, iż Liga ma za zadanie wprowadzić do „obecnej nienormalnej atmosfery uzdrawiający powiew, który powróci człowieka do tych czasów, gdy piękno fizyczne miało wyłączne i dominujące znaczenie i gdy ono tylko wypełniało całe życie" — Inicjatorem ligi jest porucznik B., gimnazjasta B., córka jednego z pedagogów, panna N. i inni. Szczegóły podaje gazeta „Siewierno zapadnyj gołos". Biuro centralne, przyjmujące członków i członkinie, znajduje się w gimnazjum męskiem. Osobistość kilku przywudców tej „Ligi" już zostoła zdemaskowana. Porucznika S. zdemaskował w „Okrainie" p, Gortułow, porucznik straży pogranicznej bawiący chwilowo w Mińsku „Kurjer Litewski" pisze z tego powodu:

„O ujawnionej „obecnie lidze" przebąkiwało już od kilku dni „Minskoje Słowo", opatrując swe słowa w komentarze, oczywiście o charakterze poiitycznym. „Liga" miała być rezultatem, czy resztką owego rozpętania się „wolnościowego", zapoczątkowego przed dwoma laty. Nie przewidywał organ pp. Skryczenki, Bielajewa, Schofera *et tutti quanti*, że filarami „ligi" są osoby, stojące najbliżej sfer reakcyjnych".

— Wójci gmin Jedlińsk i Błotnica, w pow. radomskim, otrzymali od naczelnika powiatu okólnik następujący:

„Ogłosić niezwłocznie ludności miejscowej:

Wskutek zabójstwa strażników Aleksiejewa i Riesztki, skązano z polecenia władzy wyższej na areszt 3-miesięczny — 1 człowieka, 2-miesieczny — 11 ludzi i miesięczny — 18 ludzi. Wszystkie te osoby po odbyciu kary w więzieniu będą wysłane z granic kraju na osiedlenie. Oprócz tego na gminy Jedlińsk i Błotnica zaprojektowano nałożyć kary rb. 6000 i ściągnąć ją z ludności w przeciągu tyyodnia.

Pomimo śledztwa nikt z mieszkańców gminy i osady nie chce wskazać bandytów, którzy zabili strażników. Oświadczam więc, że dla własnego dobra mieszkańców jest niezbędnie pożądane, ażeby bezzwłocznie zabójców wskazali osobiście lub piśmiennie, ponieważ do tej pory, dopóki nie będzie wiadomo, kto dopuścił się zabójstwa — sklepy będą zamknięte i jeśli postanowiono już karę rb. 6,000 ściągnąć i wysłać aresztowanych, to zmiana żadna już nie nastąpi; jeżeli jednak zabójcy będą wydani, postaram się wyjednać złagodzenie losu skazanych, jak również kary pieniężnej".

Okólnik powyższy, stosownie do polecenia, został w tych dniach ludności miejscowej odczytany.

— Pisma codzienne dowiadują się ze źródeł urzędowych, iż w ostatnich dniach na ulicach miasta i placach podmiejskich rozlepiono proklamacje, które wzywają robotników do uczczenia d. 1 maja przez bezrobocie powszechne. Zarządy fabryk otrzymały równocześnie zawiadomienie od władz, że karane będą grzywnami za nieprzeciwdziałanie zamierzonemu bezrobociu.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

A. Król. w Kamińsku. Pismo to jest specjalnie pedagogiczne, a nie dla samouków. Niech Pan czyta książki według katalogu rozumowanego „Poradnika dła Samouków", dostać można przez każdą księgarnię, Gebethnera i Wolffa, Centnerszwera i in.

P. Lis. w Dubnie. Adres „Mojego Pisemka" — Księgarnia M. Arcta w Warszawie; rocznie rb. 3.

P. Chor. w Dąbr. Dzieło Forela sprowadzić można przez każdą księgarnię za zaliczką. „Cennik" wysyłamy.

P. Fr. W. w Warsz. Tygodniki „Zaranie" Warszawa, Smolna 21, rocznie rb. 3; „Siewba" w Tłuszczu, rocznie rb. 3.

P. Wal. N. Z cyklu „Wieś" nie zamieścimy.

Wydawnictwa Naukowe.

„SPOŁECZEŃSTWA"

U. Sinclair. „Trzęsawisko". Wydanie kompletne w dwóch tomach, z portretem autora. Cena rb. 1 kop. 50.

NARODOWA DEMOKRACJA, przez Ludwika Kulczyckiego. Cena 20 kop.

ANARCHIZM w obecnym ruchu społeczno-politycznym w Rosji, przez L. Kulczyckiego. Cena 50 kop.

KWESTJA ROLNA w programach partji rosyjskich a ruch wolnościowy w Rosji, przez K. Zalęwskiego. C. 15 k.

W PAŃSTWIE PZYSZŁOŚCI, przez d-ra A. Pannekoeka. Cena 15 kop.

F. Lassalle. Program robotniczy. Cena 10 kop.

St. Brzozowski. Ich rewizjonizm. Cena 10 kop.

Paulsen. Kant i jego nauka. Z 3-go wydania niemieckiego przełożył i wyjątkami z „Krytyki Czystego Rozumu" i „Krytyki Praktycznego Rozumu" uzupełnił J. Wł. Dawid.

Książka ta znajdować się powinna w bibljotece każdego inteligenta, Cena rb 2.

Sully Jakób. Dusza dziecka. Cena rb. 2 k. 50.

J. Wł Dawid. Zasób umysłowy dziecka. Przyczynek do psychologji doświadczalnej. Cena kop. 50.

J. Wł. Dawid. O wykładzie psychologji jako nauki doświadczalnej. Cena kop. 30.

Ribot. O wyobraźni twórczej. Cena kop. 25.

H. Höffding. Zasady etyki. Cena kop. 25.

J. Szczawińska. Pensje żeńskie. Cena kop. 15.

O. Bauer. Zagadnienie narodowości. Opracował M. Aleksandrowicz. Kop. 50.

J. Wł. Dawid. Mózg i dusza. Kop. 30.

Prenumeratorzy „Społeczeństwa" kosztów przesyłki nie ponoszą.

Wysyłać zamówienia pod adresem redakcji „Społeczeństwa" Żórawia 29 m. 2, tel. 116-67.

Redaktor i Wydawca *Antoni Miller.* Druk E. Skowrońskiego, Nowy-Świat. 43.